

## HISTORIA PŁONĄCEGO POGRANICZA (36)

# Wspomnienie Albina

WŁADYSŁAW STANISŁAWSKI

Jesienią 1943 roku ojciec mój, którego Niemcy wywieźli do Goleniowa na przymusowe roboty w fabryce, postanowił uciec. Namówił również swego przyjaciela, Fikrę (przed wojną był szewcem w Borowym Mynie). Ucieczkę uzgodnił ze mną. Przyjechali pociągiem do Miastka, następnie podjechali w pobliże Chlebowa, gdzie ja w umówionym miejscu już na nich czekałem. Przez okno wprowadziłem ich do obory i ukryłem w sianie, którego — na szczęście — tym razem było dużo. Zwykle ich przez dwa tygodnie, po czym udali się w okolice Nowej Brdy do lasu odległego od Chlebowa około 20 km. Tam dostali się do partyzantki. Dla mnie i częściowo dla mago brata, Mietka, był to okres szczególnie trudny. W nocy pomiędzy godz. 22 a 4 nad ranem musieliśmy (dopóki nie połączyli się z chłopką m z lasu) dostarczać ojcu i jego koleżce żywność. Podróż była bardzo męcząca i niebezpieczna, bowiem trzeba było pokonać w obie strony około 40 kilometrów. Jedźliśmy przez nły napięcia i ciągłego strachu. Wyniosłem gromadziłem i przechowywałem poza domem. Około godz. 22 kładłem się nby spać, po to tylko, by uważać czy rodzina „obra” już wygasła światła i zasnęła. Wówczas, po cichu wstawiałem, wychodziłem przez okno, wykradałem szewcę rower lub rowery (gdzie je chałem z bratem), brałem żywność — i w drogę do lasu. Po sługiwaniu się rowerami przez cudzoziemców dozwolone było jedynie w tym przypadku, gdy udawali się lub wracali z pracy, a Polacy nadto powinni posiadać specjalne polityczne zezwolenie na korzystanie z rowerów. W nocy nie wolno było się poruszać.

Gdy pewnej nocy razem z bratem udaliśmy się w naszą nocną podróż, jadąc ciągle, dla większej ostrożności, bez światła, już w lesie, może 4 km przed celem zauważyliśmy odgłosy światełko. Zatrzymaliśmy się. Światelko ruszało się i rosło. Postanowiliśmy skryć się w lesie. Niestety, nasyw w tym miejscu był tak stromy i wysoki, że niemożliwym było pokonanie go z rowerem w ręku. Trzeba było wciągnąć na szosę i cofnąć się kilkadziesiąt metrów, żeby wyjść do lasu. Udało się. Dla większej jednak ostrożności podeszliśmy lasem do miejsca, skąd od wysoki nasyw teraz dzielił nas od szosy. Podczołgaliśmy się całkiem blisko i z biciem serca czekamy pa zbliżając się, dobrze już teraz oświetlony, przedmiot. Wreszcie jest! Na rowerze wolno

jechał policjant niemiecki\* w tak dobrze nam znanym helmie na głowie, i z bronią. Co byłoby z nami, gdybyśmy się z nim zetknęli?.. a przecież niewiele brakowało.

Mimo ciężkiej pracy, mimo poniewierki i złego odżywiania, mieliśmy i przeżywaaliśmy — jak wszyscy młodzi — równe swoje chwile radości. Wbrew zakazom, szczególnie w niedziele, gdy było nieco więcej czasu wolnego, zbieraliśmy się — my z majątku oraz niektórzy Polacy od pobliskich bauerów — aby sobie śpiewać. Śpiewaliśmy piosenki o Polsce, o swych rodzinnych stronach, pieśni bojowe, żołnierskie i partyzanckie. Śpiewaliśmy piosenki znane nam z okresu przedwojennego lub ułożone na poczekaniu, przez nas samych. W piosenkach przenosił się od obcych do swoich, z niewoli — ku wolności, z domu wroga — na łono rodziny.

Mówi o tym jedna z naszych piosenek, bardzo przez nas lubiana:

Tam, gdzie szara Wisła  
ma swój brzeg...  
najpiękniejsza  
z wszystkich rzek.  
Tam, gdzie żyła ziemia  
prześiąknięta krwią  
tam jest ma Ojczyzna,  
mój rodzinny dom.  
Czemu ja wśród obcych  
jestem tu?  
Czemu w młodych piersiach  
brak mi tchu?  
Chcę porzucić troski,  
smutną dółkę mi,  
Chcę jechać do Polski,  
gdzie rodzinny dom.  
Życie nasze teraz smutne  
niby piaz,  
przeżywamy swej niedoli  
ciężki czas.  
Niewola stopniuje  
jak wiosenny śnieg,  
lecz nam zmarnowała  
nasz młodzienny wiek.

Piosenki te i im podobne rozdziły się jak grzyby po deszczu, a ich autorami byliśmy my Polacy na obczyźnie.

Na fakty nielegalnego spotkania się Polaków na terenie Rzeszy zwracał już uwagę Gaullaiter i Nadprezydent Prowincji Pomorza. W piśmie z 22 maja 1941 r. przypominał starostom, że Polakom zabrania się opuszczania zamkniętego okręgu osiedlenia, zobowiązuje pracodawców do przestregania wydanych zarządzeń i natychmiastowego meldowania miejscowym organom policji o każdym oddaniu się Polaka. Informował, że polscy robotnicy szczególnie w niedzielę zbierają się w lasach, odbywają zebrania, wylegają się oraz palą tytoń. Nie tylko robotnicy z jednej



Nie udało nam się zabrać ze sobą do lasu kilku jeńców radzieckich... Na zdjęciu (z prawej) Aleksy — Rosjanin, którego Lemańczykowie chcieli zabrać do partyzantki.  
Repr. Jan Maziejuk

wsii, ale także z różnych gmin. Prowadzą ożywioną wymianę myśli, spisują przeciwko państwu, omawiają sobotę. — Ale raz zachciało mi się innej przyjemności — wspomni na Albin — a raczej podsunął mi tę myśl sam Albrecht. Zaproponował mi mianowicie, abym poszedł z nim do Miastka, do kina. Wiedziałem dobrze, że nam, Polakom, do kina nie chodzić nie wolno, ale pokusa była tak wielka, że przezwyciężyłem strach. Zdjąłem literę „P” i razem z „obrem” poszliśmy do Miastka. Ober kupił dwa bilety i w momencie, kiedy już wchodziliśmy na salę kinową, usłyszałem głośne wołanie z tyłu „O, da ging auch ein Pole oder ein Jude!” — O, tam siedzi również Polak! (lub Żyd). Obejrzałem się i zobaczyłem wiewiórne we mnie oczy kilku młodych, czarno ubranych „Hitlerjugend”. Nie wiem, po czym mnie poznał. Cały czas, a był to mój jedyny pobyt w kinie w ciągu pięcioletniej niewoli, myślałem o tych młodych hitlerowcach.

Nienawidzieli nas Polaków, nie tylko esesmani, żołnierze oraz młodzież niemiecka, wychowywana w duchu szowinizmu hitlerowskiego. Podobnie uczucia wrogości „kipiały” również w znacznej części sfa natyzowanego i ogłupiałego narodu niemieckiego. Pamiętam, że była to sobota — Albrecht obchodził swoje urodziny. Następnego dnia, w niedzielę obiad był bardziej obfity i uroczajony. Pogroszo no mnie wyjątkowo do jednego stołu z gospodarzami (zwykle podawano mi jedzenie oddzielnie). Wtem pod dom zajechała motocyklem siostra Niemieckiego Czerwonego

dać cios każdemu, kto przyjdzie mnie aresztować.

Chęć walki, nadzieja i wiara w zwycięstwo, niejednokrotnie zwątpienia i rezygnacje — wszystkie te uczucia mieszały się ze sobą. Pamiętam, jak po zamordowaniu Janka — czekając na mój koniec — pisałem listy pożegnalne, wzięte przyszłości dla tych, którzy przeżyją. Wszystkie te materiały włożyłem do butelki, szczelnie ją zamknąłem i zakopałem głęboko w ogrodzie, tuż obok młodego drzewka owocowego. Może butelka ta jeszcze dziś tkwi w głębi tej — już dziś naszej — ziemi...

Wreszcie, pod koniec 1944 roku, na rozkaz z lasu, uciekliśmy, aby połączyć się z „leśną bracią”.

Nie udało nam się zabrać ze sobą do lasu kilku jeńców radzieckich i amerykańskich, z którymi byliśmy umówieni. Nie mogli oni opuścić swoich mieszkań umówionej nocy. Uciekli następnego dnia po nas. Był to błąd. Zaslarmowa ni naszą ucieczką Niemcy czuli wale. Uciekinierzy zostali schwytni. Bici opowiedzieli o działalności całej naszej rodziny Lemańczyków. Niemiecki sąd polowy skazał nas na karę śmierci, niewątpliwie ku przestrodze pozostałych obywateli. O wyroku donosił kolega Jan Bobkowski, pracujący nadal w tym majątku.

Działając w ruchu oporu uprawiałem tzw. mały sabotaż. Kiedy dwukrotnie uszko dziłem maszyny rolnicze — podejrzenie padło na mnie. Przyjeżdżało gestapo, bito mnie, maltretowano do utraty przytomności. Nie przyznałem się. Skutki tych przesłuchań wywarły jednakże na mnie niezatarte ślady — trwałe kalectwo — jestem inwalidą wojennym III grupy. Wielokrotnie udało nam się przecinać druty telefoniczne i elektryczne. Pisałem i rozpowszechniałem ulotki w języku polskim i niemieckim, wiersze o treści wymawiającej Trzecią Rzeszę. Niszczenie mleka było czynnością codzienną.

W roku 1949 prowadziłem obóz harcerski w Młynowcu (powiat Bystrzyca Kłodzka). Będąc przejeżdżem we Wrocławiu podczas obiadu w jednej z restauracji zauważyłem znajomą mi twarz. Długo przypomniałem ją sobie, wreszcie poznałem. Tak, to jest na pewno pan Ludwig, Polak, kolega z czasów okupacji, który pracował u gospodarza bliżsko Chlebowa. Idę do niego i mówię: „Proszę pana, czy my przypadkiem się nie znamy?” „Ja pana nie znam” — odpowiada on. A czy pan nie pracował w czasie okupacji w powiecie Miastko — pytam da lej. „Niestety, nie, pan się myli. Ja pracowałem w Niemczech, w powiecie Rummelsburg” (niemiecka nazwa Miastka). No i dogadaliśmy się.

Pomimo, że Albin Lemańczyk jest inwalidą wojennym od 1945 roku, przez cały czas po wojnie był nauczycielem. Dopiero z dniem 1 września 1983 roku przeszedł na emeryturę — mieszka w Darłowcu. (c.d.n.)